

Indie – świat, w którym nie ma duchów

1 stycznia 2009

Przekonałem się, że podróż z Małego Tybetu, jak niekiedy nazywa się Ladakh, do hinduistycznych Indii, dostarcza niezapomnianych przygód.

Ladakh, kraina górskich przełęczy i niebosiężnych, himalajskich szczytów. Ten, tak zwany, indyjski Tybet to miejsce szczególne na mapie Indii. Wielowiekowa kultura tego obszaru łączy w sobie tybetańskie tradycje oraz lokalne wierzenia. To właśnie tu, w rejonie słynącym z rezerwatów śnieżnych panter i bajecznych parków krajobrazowych, od wieków współistnieją religie hinduistyczne, buddyzm oraz islam. Zakątek ów to Mekka miłośników trekkingu i amatorów dzikiej przyrody. Przez wiele miesięcy w roku jedyną drogą łączącą hinduistyczne Indie z buddyjskim Ladakhiem jest wielokilometrowy trakt wiodący przez himalajskie przełęcze i niedostępne doliny. Trasa prowadzi ze stolicy Ladakhu do letniskowej miejscowości zwanej Manali, położonej w stanie Himachal Pradesh.

Dworzec autobusowy w Leh, stolicy himalajskiej krainy Ladakh, budzi się wcześnie, bo około godziny drugiej nad ranem. Jest jeszcze ciemno, ale wokół pordzewiałych busów zbiera się już grupa podróżnych. Są Hindusi, Australijczyk, mieszkańcy kilku państw europejskich i Izraela. Dwóch zakapturzonych Hindusów przeciera brudną szmatą kabinę kierowcy. Obok podróżnych spaceruje brodaty jegomość w prochowcu i wełnianej czapce. Twarz ma przeoraną bliznami i bladą z niewyspania. Niekiedy mówi się o ludziach, że spoglądają wilkiem, o nim można rzec, iż ma spojrzenie lisa. Jest Kaszmirczykiem i pełni rolę pilota oraz konduktora naszego autobusu. Na pytanie o której odjeżdża autobus odpowiada mi milczeniem. Wszystkim pozostałym podróżnym wystarcza wiadomość, że niebawem będzie odjazd. Za

godzinę, dwie. Kiedyś.

Ściągam zegarek i wsuwam go do kieszeni. Indyjski konduktor krztusi się dymem biri, ciska niedopałek na ziemię i wykrzykuje parę pogardliwych słów w stronę kierowców. Przeklina ich i każe sprawdzić czy, piętrzące się na dachu busa, bagaże są dobrze przywiązane. Wrzucam swój plecak do środka i wybieram miejsce. Przez, pomazaną smarem, szybę widzę jak Australijczyk głaszcze przydrożnego kundla, a białowłosa Anglik częstuje znajomego papierosem. Żydzi próbują jeszcze coś wytłumaczyć konduktorowi. Ostatecznie sadowią się na przednich siedzeniach pojazdu. Zaczyna świtać. W szoferce, kierowcy śmieją się nerwowo wyrywając sobie pękata butelkę z lokalnym trunkiem. Do autobusu wchodzi dwóch umorusanych, opatulonych łachmanami Hindusów. Wnoszą wielki wór, tu i ówdzie połatany i związany burym sznurem. Kaszmirczyk wypisuje im bilety. „Co to za worek, co tam wieziecie?” – pyta troskliwym, ojcowskim tonem. Dwójka nowoprzybyłych uśmiecha się niepewnie. Cicho, jakby wstydząc się własnych słów, odpowiadają: „parę butów i stare ciuchy”. Konduktor podaje bilety i każe wrzucić wór na tył autobusu.

Górski wiatr rozwiewa buddyjskie proporczyki, zawieszone na przedniej szybie. Konduktor uderza w bok autobusu – to znak, że możemy ruszać. Bus warknął, zacharczał i zatrzęsł się konwulsyjnie. Odjeżdżamy.

Niedomknięte drzwi dzwonią miarowo, wyrywając mnie z półsnu. Słyszę jak trójka Hindusów zaśmiewa się nad czymś w szoferce. Wjeżdżamy na wąską, pooraną bruzdami drogę. Jest już całkiem jasno więc przez okno można dostrzec skalno-pustynną panoramę Ladakhu. Widać majestatyczne, ciągnące się w nieskończoność górskie przełęcze. Dalej niewielka dolina – łożysko pradawnej rzeki. Wiatr wyswobodził z porannej mgły kilka turni. Przypominają groteskowe, ponadgryzane przez czas, wieże perskiego pałacu. Po przeciwnej stronie, buddyjskie kurhany i kilka modlitewnych kamieni. Za nimi, jak okiem sięgnąć, rozciąga się księżycowy krajobraz.

Głazy, skalne odłamki zastygłe u podnóża Himalajów, bielejące gdzieśgdzie kapliczki i samotne drzewa przepasane modlitewnymi flagami. Przed nami setki kilometrów wyboistej drogi. Autobus skowyczy na zakrętach, wyprzedzając sapiące, wojskowe gaziki i barwne ciężarówki. Kierowca włącza magnetofon. Ze starego głośnika zaczyna wydobywać się rzewne zawołanie hinduskiej gwiazdy. Monotonne melodie przerywa dzika kakofonia klaksonów i pisk opon. Przed nami kawalkada aut. Pojazdy ocierają się o zwaliste głazy, a ich tylne koła zahaczają o skraj bezdennych przepaści. Nie wszystkim udaje się przejechać: w skalnych rozpadlinach można dojrzeć pokiereszowane ciężarówki, pordzewiałe jeepy...

Mój wysłużony bedeker lakonicznie wzmiankuje o kolejnych etapach podróży. Trasa liczy sobie 459 kilometrów skalnego pyłu, chybotliwych mostów i pobrużdżonej koleinami drogi. Podróż autobusem trwa dwa dni. Wystarczy przejechać przez, wysmagane wiatrem, przełęcz Baralacha (4,892m), Lachulung (5,059m) i Tanglang (5,325m), spędzić noc na równie wysoko położonym polu namiotowym w Sarcu i poprzez ośnieżoną Rohtang wjechać do zielonej doliny Manali. Na następnej stronie relacja z wyprawy do doliny Kulu i zamknięta w grubej ramce informacja o osobach, które zaginęły w tym regionie. Amerykanin, Włoch, Anglicy...globtroter, biznesmen, para zakochanych.

Ich zniknięcie, sugeruje autor przewodnika, to najprawdopodobniej sprawa mafii. Indyjska kamorra prężnie działa w rejonie Kulu-Manali: handel narkotykami, porwania, prostytutka. Po zmierzchu rynki i targowiska okolicznych wiosek stają się miejscami spotkań lokalnego półświatka. W długich, zaciemnionych straganami uliczkach czai się lęk. Ten sam, który słychać w głosie Umeśa, pucybuta z Waśiszt. Lękliwym głosem opowiada o chlebobawcach prostytutki, u której bywał w młodości. Strach widać w oczach Rameśa, starego handlarza suknem, który zna wszystkich z doliny Kulu.

Taki sam lęk ogarnia córkę mojego indyjskiego pracodawcy.

Dwudziestoletnia Sridzia wieczorem kończy niańczyć dzieci szwagra i udaje się do swej chatki. Do chałupki prowadzi czarny trakt. Drożyna schodzi zakosami z gór, przebiega przez targ, podpełza pod świątynię Kali i zatrzymuje się przy poczcie. Odprowadzam Sridzię do domu. Opowiadam jej o mojej pracy, a ona zwierza mi się ze swoich zmartwień. „Masij” – przekręca moje imię. – „boję się ludzi-cieni, którzy tu mieszkają”. Pytam czy obawia się duchów. Kręci głową. – „To Indie, Masij. W tym świecie nie ma duchów”. Ściska moją dłoń i wchodzi do ciepłej izby. Rygluje drzwi. Jest bezpieczna.

Zamykam bedeker. Autobus drastycznie zwalnia, zatrzymuje się prawie uderzając o obtłuczony zderzak stojącego przed nim samochodu. Czwórka Żydów próbuje dojrzeć coś przez zabrudzone okna. Widać tylko rozkrzyczany tłum stojący przy karawanie aut. Nieco dalej: dygocący na wietrze namiot – przydrożna restauracja oraz kilka wątłych, rosochatych drzew. Do szoferki zagląda wąsaty oficer. „Rakho! Stop, nie jedź dalej” – nakazuje kierowcy.

Rozglądam się po autobusie. Tuż za mną szczupły jegomość uśmiecha się sam do siebie, notując coś pośpiesznie i poprawiając szary pulower. Odwraca kolejne kartki notesu. Kreśli, stawia koślawe znaki zapytania i mamrocze urywane zdanie w języku Cervantesa. Kierowca wyłącza silnik. Śniada Żydówka z długimi, rozczochranymi włosami krzyczy coś do Kaszmińczyka. Odpowiada jej wzruszenie ramion. Na tylnych siedzeniach dwóch Hindusów śpi wtulonych w wór z ubraniami. Niektórzy pasażerowie skwapliwie pakują bagaże. Siwy Anglik debatuje z nepalskim kompanem. „Słusznie” – potakuje Brytyjczyk. – „To dobry czas na herbatę”

Mała kuchnia znajdowała się w głębi namiotu. Rozgrzany do czerwoności czajniki, gar z soczewicą i trzy popekane, zarzucone starymi słodyczami skrzynie. Obiad położono na stole przy oknie szałas. Ryż, warzywa, pikantne curry. Ktoś poprosił o ćaj.

„Co właściwie się stało?” – zapytał Anglik, lepiąc kulki z ciemnego ryżu, który zalegał na półmisku. Odpowiedziało mu kilka głosów. Dwa dni wcześniej w tym samym miejscu zatrzymała się ciężarówka wojskowa. Przewozili prowiant dla żołnierzy stacjonujących przy granicy. Aby wyjechać z osady musieli przebyć most zawieszony nad urwiskiem. Wydawał się wytrzymały: solidna konstrukcja i mocne filary, wbite głęboko w przepastny jar z lodowatą rzeką. Jednak most służył już zbyt długo. Zawiodły mocowania. Żołnierze jechali, nie spodziewając się niczego złego. Kładka nagle zadrżała i jęknęła, rozpadając się. Świadom zagrożenia kierowca dodał gazu. Ciężarówka warknęła i zrywając wielokolorowe flagi, skoczyła do przodu. W ostatniej chwili zdążyli dotrzeć na drugi brzeg. Za tylnymi kołami posypały się skały, drewno i piach. To co pozostało było karykaturą mostu – sterczące przyczółki, pozbawiony belkowania szkielet i kołyszące się na wietrze resztki flag.

Na brzegu szybko zgromadzili się gapie. Nadjechały autobusy i jeepy. Dotarła wiadomość, że niedługo przybędzie ekipa, która naprawi most. „Poczekamy” – powtarzali podróżni i daremnie wyglądali pomocy. Autokarów było coraz więcej. Gęstniał też tłum na obu brzegach. Nie było łączności z Leh i tylko nieliczni otrzymywali informacje o wypadku.

„Nie wiemy jak długo przyjdzie nam tu tkwić” – skwitował opowiadanie jeden z Żydów i pociągnął spory łyk mlecznej herbaty. Towarzyszące mu dziewczyny smutno pokiwały głowami.

„Nawet dobrze się składa” – wtrącił Hiszpan stukając w swój notes końcówką długopisu. – „Będę mógł napisać w spokoju ostatni rozdział mojej powieści”. Widząc skierowane w jego stronę nienawistne spojrzenia odparował szybko: „ Nie martwcie się, przecież musi być jakiś inny most”

„Musi być i jest” – głos Australijczyka dobiegł nas zza baru. – „Rozmawiałem z barmanką, mówi że most linowy jest tylko cztery kilometry stąd”

„No to powodzenia” – Hiszpan wylał resztkę herbaty i napełnił filiżankę cuchnącym płynem z piersiówki. „Mnie barman mówił o dziesięciu kilometrach drogi do najbliższej kładki, Tybetańczyk wspominał o piętnastu, a stary mnich z sąsiedniego stolika stwierdził, że most jest nie dalej niż dwie mile. Tak czy siak, Ladakhijczycy są genialni: wszyscy tutaj wiedzą gdzie jest most choć każdy widzi go gdzie indziej.” Łyknął nieco rozgrzewającego napoju i uśmiechnął się szelmowsko do rozczochranej Żydówki. Dyskusję przerwało nagłe wtargnięcie Nepalczyka. – „Chodźcie natychmiast! Zobaczcie co się dzieje!”

Trudno było przecisnąć się przez rozwrzeszczany tłum. Gdy dotarliśmy na krawędź urwiska James, siwy Anglik o ogorzałej twarzy, stał już przy przyczółku dawnego mostu. Tam też zgromadzili się przestraszeni Ladakhijczycy. Nie brakowało także turystów, zwabionych dzikimi okrzykami. Kilku Japończyków przykucnęło na poboczu. Widać było, że próbują robić zdjęcia. Nerwowo naciskali spust migawki. Oczy wszystkich skierowane były na pozostałości mostu.

Po podłamanej, wąskiej belce łączącej brzegi urwiska, idzie człowiek. Można dostrzec, że to Hindus. Pokonał kilka metrów, ostrożnie stawiając stopy. Powoli, krok po kroku idzie do przodu. Rozkłada ręce, jakby prosząc himalajski wiatr by był dla niego wsparciem. Na przeciwległym brzegu widać wojskowy gazik i grupkę żołnierzy. Stojący za Anglikiem Ladakhijczycy skandują imię bohatera. Głosy milkną gdy Hindus potyka się. Cisza. Wiatr gwiżdże między skałami, zawodzi dziko i muska ciało śmiałka leżące na dnie wąwozu. Odwracam wzrok i słyszę wystrzał. Seria z karabinu maszynowego przerywa ciszę. To żołnierze próbują odstraszyć kolejnych śmiałków. Ktoś, zląkniony hukiem wystrzału, pada na ziemię. Niewiele brakowało, by stoczył się ze skarpy. Anglik siada na głazie i zamyka oczy. Siedzi nieruchomo. Kilku Hindusów próbuje wspiąć się na przesłą, słychać lament kobiet. Dwóch osiłek w skupieniu przywiązuje liny do wbitych w nasyp haków. Chcą opuścić się na dno jaru. Wracamy do namiotu. W restauracji kończy się towar,

można zamówić tylko soczewice i słabą herbatę bez mleka. Leciwa barmanka uśmiecha się zza prowizorycznej lady: " Mówią, że niedługo przyjedzie ekipa i naprawi most".

Pomoc dotarła parę dni później. Wraz z Anglikiem, grupą z Izraela i Australijczykiem wynajęliśmy jeepa i udaliśmy się na północ. Linowy most, tylko dla użytku wojska, był pięć kilometrów od restauracji. A może nieco dalej. Hiszpan został w namiocie. Widziałem jak szczęśliwy kreślił kolejne słowa w swoim notesie.

O ósmej rano następnego dnia siedziałem już w biurze. Agencja turystyczna w centrum Manali: za oknem hipisi, zdyszani podróżni, krowy i długowłose chiromanta, leżący na burej szmacie przy sklepie z suknom. Wypisywałem bilety autobusowe dla grupy japońskich turystów. Miałem jeszcze przygotować plan wyjazdu dla himalaistów z Izraela. Ciągle jednak myślałem o zawalonym moście. Szef wpadł do biura tylko na chwilę. Zapalił amerykańskiego papierosa i przerzucił karty nowego Hindu Timesa. „Dobrze, że wróciłeś cało. W dzisiejszym wydaniu piszą, że zginęła tam setka ludzi. Jakiś mnich buddyjski stwierdził, że to miejsce jest przeklęte. Podobno nawiedzone przez demony”. Uśmiechnął się pogardliwie odkładając gazetę. – „XXI wiek a ludzie wciąż są zabobonni. Przecież w tym świecie nie ma duchów”.

Autor: Maciej Karasinski

Źródło: Wiadomości24.pl